



GUILLAUME MUSSO

Każdy z nas ma trzy życia: publiczne, prywatne i sekretne...
Gabriel García Márquez

SEKRETNE ŻYCIE PISARZY

ALBATROS

Tytuł oryginału:
LA VIE SECRÈTE DES ÉCRIVAINS

Copyright © Calmann-Lévy, 2019
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2020

Polish translation copyright © Joanna Prądyńska 2020

Redakcja: Aleksandra Żdan

Zdjęcie na okładce: © Alexandre Capellari/Arcangel Images

Projekt graficzny okładki i serii: Kasia Mieszka

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



ALBATROS

Tajemnica Nathana Fawlesa

(„Le Soir” – 4 marca 2017)

Autor słynnej powieści *Lorelei Strange*, który prawie dwadzieścia lat temu znikł ze sceny literackiej, nadal fascynuje czytelników w każdym wieku. Fawles wycofał się z życia publicznego i zamieszkał na jednej z wysp Morza Śródziemnego. Od tego czasu uporczywie odmawia kontaktu z mediami. Oto informacje, które udało nam się zdobyć na temat pustelnika z wyspy Beaumont.

Im bardziej chcesz coś ukryć, tym bardziej ludzi to fascynuje – jest to tak zwany efekt Streisand, perwersyjny mechanizm, którego ofiarą padł francusko-amerykański pisarz Nathan Fawles, gdy mając trzydzieści pięć lat, wycofał się z życia publicznego. Minęły dwie dekady, a otaczająca go tajemnica wciąż wzbudza niezdrową ciekawość i mnoży plotki.

Fawles, syn Amerykanina i Francuzki, urodził się w Nowym Jorku w 1964 roku. Dorastał na przedmieściach Pa-

ryża. Na studia wyjechał do Stanów – najpierw do Phillips Academy, później na Uniwersytet Yale. Z dyplomem prawa i nauk politycznych zaczął pracę w terenie dla różnych organizacji humanitarnych, w tym dla Lekarzy bez Granic. Brał udział w akcjach walki z głodem, zwłaszcza w Salwadrze, Armenii i Kurdystanie.

WIELKA KARIERA

Do Nowego Jorku wrócił w 1993 roku, gdy ukazała się jego pierwsza powieść *Lorelei Strange*. Jej treścią była wyimaginowana podróż inicjacyjna dziewczyny zamkniętej w szpitalu psychiatrycznym. Sukces nie przyszedł od razu. Dopiero po kilku miesiącach marketing szepłany, zwłaszcza wśród młodzieży, sprawił, że tytuł wysforował się na pierwsze miejsca list bestsellerów. Dwa lata później prawie tysiącstronicowe *Amerykańskie miasteczko*, fascynująca powieść rzeka, przyniosło Fawlesowi Nagrodę Pulitzera. Autora zaliczono wówczas do grona najoryginalniejszych współczesnych amerykańskich pisarzy.

Pod koniec 1997 roku – niespodzianka! Fawles przeprowadził się do Paryża i wydał nową powieść, tym razem po francusku. *Rażeni piorunem* to nie tylko rozdzierająca historia miłosna, ale też zapiski z rozmyślań na temat żałoby, życia wewnętrznego i mocy słowa pisanego. Jako gość w specjalnym wydaniu prestiżowego programu telewizyjnego poświęconego książkom, *Bouillon de culture*, Fawles, zaproszony wraz z Salmanem Rushdiem, Umber-

tem Eco i Mariem Vargasem Llosą, podbił serca Francuzów. W programie tym pojawił się jeszcze raz w listopadzie następnego roku. Jak się później okazało, było to jego ostatnie wystąpienie publiczne. Siedem miesięcy później w wieku zaledwie trzydziestu pięciu lat w bulwersującym wywiadzie udzielonym AFP Fawles powiadomił o decyzji o zakończeniu kariery pisarskiej.

ODLUDEK Z WYSPY BEAUMONT

Ogłoszone postanowienie okazało się nieodwołalne. Fawles zamieszkał na wyspie Beaumont i nie tylko nigdy już nic nie opublikował, ale też nie udzielił żadnego wywiadu. Systematycznie odrzucał propozycje adaptacji swoich powieści (przedstawiciele Netflixa i Amazona, mimo że podobno proponowali mu złote góry, odeszli z kwitkiem).

I tak od prawie dwudziestu lat głucha cisza na jego temat wciąż napędza ludzką wyobraźnię. Dlaczego Nathan Fawles u szczytu sławy odseparował się od świata?

„Nie ma żadnej tajemnicy Nathana Fawlesa! – zapewnia Jasper Van Wyck, jego wierny agent. – Nie ma żadnego sekretu! Nathan po prostu zajął się czymś innym. Definitywnie zrezygnował z pisania i świat wydawniczy przestał go interesować”.

Zapytany o życie codzienne pisarza, Van Wyck nie zdradził nic konkretnego. „Z tego, co wiem, Nathan zajmuje się swymi prywatnymi sprawami” – powiedział.

ŻEBY ŻYĆ SZCZĘŚLIWIE, ŻYJMY W UKRYCIU

Aby uciąć dalsze indagacje, Van Wyck dodał, że Nathan od dwudziestu lat nie napisał ani jednego zdania.

„Nawet jeśli *Lorelei Strange* często porównuje się do *Buszującego w zbożu*, Fawles to nie Salinger. Nie ma w domu sejfu pełnego rękopisów. Już nigdy nie będzie nowej książki Nathana Fawlesa. Nawet po jego śmierci!” – rzekł.

Lecz ciekawskich trudno zniechęcić. Mijały lata i wielu czytelników oraz dziennikarzy wybierało się na wyspę Beaumont, aby pospacerować przed willą pisarza, której drzwi były zawsze zamknięte na cztery spusty. Nieufność Fawlesa do obcych udzieliła się wszystkim mieszkańcom wyspy. Nic dziwnego w miejscu, którego dewizą były od zawsze słowa: „Żeby żyć szczęśliwie, żyjmy w ukryciu”.

„Urząd miejski nie podaje żadnych informacji o mieszkańcach wyspy, sławnych czy nie” – poinformował nas sekretariat merostwa. Również niewielu mieszkańców wyspy zgadzało się rozmawiać o pisarzu. Nasze pytania spotykały się z ostrożnymi odpowiedziami.

„Nathan Fawles wcale się nie chowa, żyje jak każdy z nas – zapewniała Yvonne Sicard, żona miejscowego lekarza. – Często widzimy, jak przyjeżdża swoim mini mukiem na zakupy do Ed’s Corner, naszego jedyne go minimarketu”.

„Bywa u mnie w pubie, zwłaszcza gdy grają piłkarze Olympique de Marseille” – dodał właściciel lokalu. Jeden z klientów dorzucił, że Nathan nie jest żadnym pustelnikiem,

jak go czasem nazywają dziennikarze: „To po prostu miły facet, który zna się na piłce nożnej i lubi japońską whisky. Irytuje go tylko, gdy ludzie natrętnie wypytują o jego powieści lub w ogóle o literaturę, i od razu wychodzi”.

PUSTE MIEJSCE W ŚWIECIE LITERATURY

Fawles ma wielu wielbicieli wśród kolegów po piórze. Jednym z tych, którzy wynoszą go pod niebiosa, jest Tom Boyd.

„Zawdzięczam mu najpiękniejsze chwile lektury! Fawles należy bez wątpienia do grupy tych kilku pisarzy, wobec których mam największy dług!” – twierdzi autor *Trylogii anielskiej*. Podobnie Thomas Degalais, który uważa, że swymi trzema powieściami autor zapisał się złotymi zgłoskami w historii literatury. „Oczywiście, tak jak wszyscy żałuję, że Fawles zamilkł! – mówi francuski pisarz. – Bardzo go nam brakuje. Chciałbym, żeby wrócił do pracy, ale odnoszę wrażenie, że to nigdy już nie nastąpi”.

Rzeczywiście na to wygląda. Nie zapominajmy jednak, że mottem ostatniej powieści Fawlesa były słowa króla Le-ara: *To gwiazdy, gwiazdy wysoko na niebie rządzą naszym życiem...*

Jean-Michel Dubois

Wydawnictwo Calmann-Lévy
rue du Montparnasse 21
75006 Paris

Numer, na który należy się powołać
w dalszej korespondencji: 379529

Pan Raphaël Bataille
avenue Aristide-Briand 75
92120 Montrouge

Paryż, 28 maja 2018 r.

Szanowny Panie,

otrzymaliśmy maszynopis pańskiej powieści zatytułowanej
Nieśmiałość szczytów i dziękujemy za zaufanie, jakim Pan
obdarzył nasze wydawnictwo.

Tekst został dokładnie przejrany przez komitet redakcyj-
ny, niestety, nie odpowiada on kryteriom, których obecnie
przestrzegamy.

Życzymy Panu, aby jak najszybciej znalazł Pan wydawcę,
który zdecyduje się z Panem współpracować.

Z serdecznymi pozdrowieniami

Sekretariat

PS Nadesłane teksty przechowujemy przez miesiąc. Gdyby
chciał Pan, abyśmy odesłali maszynopis, proszę przysłać
kopertę ze znaczkiem.

1

Podstawowa zaleta każdego pisarza

*Podstawową zaletą każdego pisarza
są prężne pośladki.*

Dany Laferrière

Wtorek, 11 września 2018

1

Wiatr trzepotał żaglami pod uderzająco błękitnym niebem.

Żaglówka wypłynęła z przystani wczesnym popołudniem i sunęła teraz z szybkością pięciu węzłów w kierunku wyspy Beaumont. Siedziałem niedaleko steru, obok kapitana, i upajałem się perspektywą żeglowania po pełnym morzu. Promienie słońca igrały wśród fal, wpatrywałem się w to widowisko z zachwytem.

Tego ranka wcześniej wyszedłem z mieszkania na przedmieściach Paryża, chcąc zdążyć na szóstą na pociąg do Awinionu. W siedzibie papieża wsiadłem do autobusu, który

zawiózł mnie do Hyères, a tam złapałem taksówkę do małego portu Saint-Julien-les-Roses, jedynej przystani, z której można było promem dostać się na wyspę Beaumont. Niestety, jak zwykle pociąg się spóźnił i ja również spóźniłem się pięć minut na to popołudniowe połączenie. Łaziłem bez celu po nabrzeżu, taszcząc za sobą walizkę, gdy kapitan jakiegoś holenderskiego żaglowca, który płynął na wyspę po klientów, uprzejmie zaproponował, że mnie zabierze.

Właśnie skończyłem dwadzieścia cztery lata i moje życie się skomplikowało. Dwa lata wcześniej ukończyłem w Paryżu wyższą szkołę handlową, ale nie szukałem pracy w tej branży. Studia zrobiłem tylko dla rodziców; nie zamierzałem żyć w rytmie zarządzania, marketingu czy finansów. Łapałem się różnych prac – musiałem płacić za mieszkanie – ale całą energię ostatnich dwóch lat poświęciłem na napisanie powieści *Nieśmiałość szczytów*, którą odrzuciło już z dziesięć wydawnictw. Wszystkie odmowne listy przyczepiłem pinezkami do korkowej tablicy nad biurkiem. Za każdym razem, gdy wbijałem nową pinezkę, czułem, jakbym wbijał ją sobie w serce, bo moja rozpacz była równie wielka jak pasja do pisania.

Na szczęście te dołki nie trwały nigdy długo. Zawsze udawało mi się wmówić sobie, że niepowodzenia to wstęp do późniejszych triumfów. Miałem trochę słynnych przykładów. Jak choćby Stephena Kinga z jego *Carrie*, którą odrzuciło ponad trzydzieści wydawnictw... Połowa lon-

dyńskich oficyn zlekceważyła pierwszy tom *Harry'ego Pottera* pod pretekstem, że jest to powieść o wiele za długa dla dzieci... Zanim najbardziej chodliwy bestseller science fiction *Diuna* osiągnął sukces, jej autor Frank Herbert poniósł około dwudziestu porażek... Co do Francisa Scotta Fitzgeralda, to podobno wykleił ściany swego pokoju stu dwudziestoma dwoma listami odmownymi od gazet, którym proponował swoje opowiadania.

2

Jednak skuteczność metody Couégo ma swoje granice. Mimo wysiłków nie umiałem zmobilizować się do pisania. Nie z powodu syndromu pustej kartki czy też braku pomysłów, ale niszczącego wrażenia, że umysłowo stoję w miejscu, że nie wiem, dokąd zmierzam. Postanowiłem spojrzeć na wszystko z dystansu, okiem serdecznym, ale nieustępliwym. Na początku roku zapisałem się na kurs kreatywnego pisania, zorganizowany przez znane wydawnictwo. Wiązałem z tym kursem wielkie nadzieje, lecz szybko się rozczarowałem. Słynny w latach dziewięćdziesiątych pisarz Bernard Dufy, który prowadził zajęcia, przedstawił się jako „mistrz słowa”. Tak dokładnie się określił. „Wasza praca ma polegać na znalezieniu odpowiedniego języka, a nie odpowiedniej historii – powtarzał. – Treść ma być oparciem dla stylu, który jest najważniejszy. Forma, rytm,

harmonia językowa to absolutna podstawa. Tylko tym powieść może się wyróżnić, bo od czasów Szekspira opisano już wszystko”.

Strata tysiąca euro, bo tyle kosztowały trzy czterogodzinne sesje „lekcji pisania”, porządnie mnie wkurzyła i puściła z torbami. Być może Dufy miał rację, ale osobiście byłem innego zdania: styl nie może być celem samym w sobie. Podstawową cechą pisarza winna być umiejętność wciągnięcia czytelnika w zniewalający świat interesujących bohaterów, tak aby mógł oderwać się całkowicie od codzienności. Styl to narzędzie narracji, która dzięki słowom może stać się ekscytująca. W gruncie rzeczy zdanie takich akademickich pisarzy jak Dufy miałem w nosie. Jedyną opinią, na której mi zależało, jedyną, z którą bym się liczył, była opinia mojego idola, ulubionego pisarza, Nathana Fawlesa.

Jego powieści odkryłem pod koniec okresu dorastania; Fawles już wówczas od dawna nie pisał. Trzeci tytuł, *Rażeni piorunem*, dostałem w prezencie w klasie maturalnej od mojej ówczesnej dziewczyny, Diane Laborie – była to rekompensata za zerwanie ze mną. Ta powieść poruszyła mnie dużo bardziej niż utrata pozornej miłości. Sięgnąłem po dwie poprzednie książki tego autora: *Lorelei Strange* i *Amerykańskie miasteczko*. Od tamtego czasu nie przeczytałem nic równie poruszającego.

Unikalny styl Fawlesa sprawiał, że miałem wrażenie, jakby autor zwracał się bezpośrednio do mnie. Jego powieści były płynne, żywe, intensywne. Nie jestem typem fana,

ale wracałem do nich wielokrotnie, bo mówiły o mnie, o moich stosunkach z innymi, o trudności zarządzania własnym życiem, o bezbronności człowieka i o kruchości egzystencji. Dodawały mi siły i podwajały ochotę do pisania.

Gdy Fawles wycofał się ze sceny twórczej, wielu pisarzy próbowało pisać tak jak on, czerpać z elementów jego świata, naśladować formę i treść jego prozy. Nikt nie dorastał mu do pięt. Był tylko jeden jedyny Nathan Fawles. Mógł się podobać lub nie, ale trzeba było przyznać, że to ktoś wyjątkowy. Nawet gdy otworzyło się jego książkę na ślepo, po przeczytaniu jednej strony było jasne, że on jest autorem. Według mnie to była oznaka prawdziwego talentu.

Oczywiście ja również starałem się rozgryźć sekret siły jego stylu. No i bardzo chciałem nawiązać z nim kontakt. Czułem, że to próżny wysiłek, ale pisałem do niego wielokrotnie na adres francuskiego wydawnictwa i do jego amerykańskiego agenta. Wysłałem mu nawet swój rękopis.

Potem, jakieś dziesięć dni temu, w newsletterze witryny wyspy Beaumont spostrzegłem ogłoszenie z ofertą pracy w małej księgarni na wyspie. Księgarenka nazywała się Szkarłatna Róża. Wysłałem swoją aplikację mailem bezpośrednio do właściciela. Jeszcze tego samego dnia Grégoire Audibert zadzwonił do mnie przez FaceTime i oznajmił, że zostałem przyjęty. Stanowisko miało być wolne za trzy miesiące. Pensja nie była zbyt duża, ale Audibert zapewniał mi mieszkanie i dwa posiłki dziennie w Fort de Café, jednej z restauracji przy rynku.

Byłem zachwycony. Jeśli dobrze zrozumiałem słowa księgarza, miałbym tam czas na pisanie, i to w inspirującej atmosferze. Poza tym, kto wie, może natknę się na wyspie na samego Nathana Fawlesa!

3

Kapitan przyhamował żaglami.

– Ziemia na horyzoncie! – wykrzyknął, wskazując brodą na wylaniającą się przed nami wyspę.

Wyspa Beaumont, położona o trzy kwadranse promem od wybrzeży Var, miała kształt rogalika. Był to łuk długości około piętnastu kilometrów, szeroki na sześć. Nazywano ją perłą Morza Śródziemnego, skarbcem przyrody nietkniętej ręką człowieka, pełnym fiordów, turkusowych zatoczek, sosnowych zagajników i piaszczystych plaż. Lazurowe Wybrzeże w dziewiczym stanie, takie jak kiedyś, bez turystów, betonowych zabudowań i zanieczyszczonego powietrza.

W ciągu ostatnich dziesięciu dni miałem czas przejrzeć swoją dokumentację na temat wyspy. Od 1955 roku Beaumont należała do Gallinarich, trzymającej się w cieniu rodziny włoskich przemysłowców, którzy na początku lat sześćdziesiątych zainwestowali mnóstwo pieniędzy w jej zabudowę, doprowadzenie wody i wykopanie przystani, tworząc z niczego jeden z pierwszych portów jachtowych na wybrzeżu. Działano według planu gwarantującego

pierwszeństwo dobru mieszkańców przed tak zwaną nowoczesnością. Jedynym zagrożeniem były grupy agresywnych spekulantów ziemią i budynkami, no i turystyka.

Rada wyspy, żeby zapobiec nadmiernej rozbudowie, ograniczyła po prostu dopuszczalną liczbę wodomierzy. Strategia ta była wzorowana na rozwiązaniu, które przez długi czas sprawdzało się w miasteczku Bolinas w Kalifornii. W rezultacie od trzydziestu lat liczba mieszkańców nie przekraczała tysiąca pięciuset. Nie było tu agencji nieruchomości, część dóbr zostawała w rodzinie, resztą zarządzano drogą kooptacji. Turystykę utrzymywano pod kontrolą dzięki nadzorowi komunikacji z kontynentem. Pełnia sezonu czy środek zimy, połączenie zapewniał tylko jeden przewoźnik – słynny stateczek *Nieustraszony*, szumnie nazywany promem. Pływał trzy razy dziennie – ósma, dwunasta trzydzieści i dziewiętnasta – na trasie Beaumont–Saint-Julien-les-Roses i z powrotem. Wszystko odbywało się tak jak kiedyś, nie było rezerwacji i zawsze pierwszeństwo mieli mieszkańcy wyspy.

Beaumont nie było wrogie turystyce, ale nie miało turystycznego zaplecza. Na wyspie działały trzy kawiarenki, dwie restauracje i pub. Hotele nie istniały, mieszkańcy rzadko wynajmowali pokoje obcym. Ale im silniej zniechęcano ludzi do odwiedzania tego miejsca, tym większą wyspa wzbudzała fascynację. Oprócz stałych mieszkańców w lecie wynajmowało tu domy kilku bogatych ludzi, przemysłowców czy artystów, którzy w ciągu ostatnich kilkudziesięciu

lat upodobali sobie to sztywne, sielskie miejsce z dala od cywilizacji. Właścicielowi firmy specjalizującej się w nowoczesnych technologiach oraz dwóm czy trzem przedstawicielom przemysłu winiarskiego udało się wykupić wille na własność. Niezależnie jednak od swojego bogactwa czy otaczającej ich sławy, starali się żyć dyskretnie. Mieszkańcy wyspy tolerowali ich pod warunkiem podporządkowania się tradycyjnym wartościom, którym hołdowano na Beaumont. Zresztą ci, którzy mieszkali tu najkrócej, często okazywali się najbardziej zażartymi obrońcami miejscowych zwyczajów.

Separacja wyspy wzbudzała wiele krytyki i irytowała tych, którzy czuli się wykluczeni. Na początku lat osiemdziesiątych rząd socjalistów chciał wykupić Beaumont – oficjalnie po to, aby włączyć to miejsce w poczet skarbów narodowych, a tak naprawdę, aby położyć kres wyjątkowej pozycji wyspy. Spotkało się to z tak wielkim sprzeciwem, że projekt upadł. Od tego czasu pogodzono się z sytuacją: wyspa jest miejscem wyjątkowym i takim ma pozostać. U wybrzeży departamentu Var istnieje zatem prawdziwy raj, skąpany w krystalicznych falach Morza Śródziemnego. Kawalek Francji, a niezupełnie Francja.

4

Ciągnąłem walizkę po bruku. Przystań jachtowa była niewielka, ale idealnie zaprojektowana, żywa i malownicza.

Miasteczko nad zatoką wyglądało jak amfiteatr: rzędy kolorowych domków błyszczały na tle stalowego nieba. Przez chwilę czułem się jak na greckiej wyspie Hydra, którą w dzieciństwie zwiedzałem z rodzicami, ale moment później, wszedłszy na wąskie i strome uliczki, miałem wrażenie, jakbym znalazł się we Włoszech z lat sześćdziesiątych. Gdy wdrapałem się jeszcze wyżej, zauważyłem plaże i kremowe wydmy przypominające piaszczyste wybrzeże Massachusetts. Kółka walizki podskakiwały z trzaskiem na bruku uliczek wiodących do centrum, a ja zrozumiałem, że magia Beaumont polega właśnie na tej nieuchwytej atmosferze. Wyjątkowe, niespotykane miejsce, zmienne niczym kameleon. Nie było co się dłużej nad tym zastanawiać.

Szybko dotarłem do głównego place des Martyrs, który wyglądał jak z prowansalskiej pocztówki, prosto z powieści Jeana Giono. Był to newralgiczny punkt wyspy, w cieniu, pomiędzy wieżą z zegarem, pomnikiem ku czci poległych, szumiącą fontanną i terenem do gry w bule.

W zarośniętym dzikim winem murze sąsiadowały ze sobą wejścia do dwóch jedyńskich restauracji – Un Saint Jean Hiver i Le Fort de Café. Na tarasie tej drugiej spostrzegłem wysuszoną sylwetkę Grégoire’a Audiberta, który kończył porcję młodych karczochów w oliwie. Wyglądał jak przedwojenny nauczyciel: krótka siwa bródka, obcisła kamizelka i długa marynarka ze zmiętego lnu.

On też mnie zauważył, po pańsku zaprosił do stolika i poczęstował lemoniadą, jakbym miał dwanaście lat.

– Wolę uprzedzić pana od razu, pod koniec roku zamykam księgarnię! – oznajmił prosto z mostu.

– Jak to?

– Dlatego właśnie szukałem pracownika: chcę, żeby ktoś mi wszystko uporządkował, obliczył i podsumował.

– Zamyka pan interes?

Kiwnął głową, wycierając resztę oliwy kawałkiem bułki.

– Dlaczego?

– Nie daję rady finansowo. Książki sprzedają się coraz słabiej i nie zanosi się na szybką poprawę. Zresztą z pewnością wie pan, o co chodzi. Toleruje się na wielką skalę giganty internetowe, które nawet nie płacą u nas podatków... – powiedział Audibert, wzdychając. – A poza tym, bądźmy realistami – dodał po chwili milczenia z prowokującym pesymizmem. – Po co fatygować się do księgarni, skoro można księgarnię sprowadzić sobie do domu trzema kliknięciami na iPhone!

– Po co? Z tysiąca powodów! – zaprotestowałem. – Próbował pan znaleźć kogoś, kto byłby pańską księgarnią zainteresowany?

Audibert wzruszył ramionami.

– Ona nikogo nie interesuje. Dziś książka jest najmniej rentownym towarem. Moja księgarnia nie pierwsza popłynęła i nie ostatnia.

Wlał sobie resztę wina z dzbanka i wychylił je jednym haustem.

– No, chodźmy, pokażę panu Szkarłatną Różę! – rzekł, składając serwetkę i wstając od stolika.

Poszedłem za nim przez plac do księgarni. Na wyjątkowo smutnej wystawie kurzyły się książki, które musiały tam leżeć co najmniej od kilku miesięcy. Audibert pchnął drzwi i przepuścił mnie przed sobą.

Wnętrze sklepu było równie ponure. Zasłony pozabawiały pomieszczenie światła. Półki z orzechowego drewna wyglądały stylowo, ale stały na nich jedynie książki klasyczne, poważne, takie, których się nie czyta, ale które należałoby mieć. Kultura w sensie akademickim. Zaczynałem go rozumieć – Audibert prawdopodobnie dostałby ataku serca, gdyby musiał sprzedawać science fiction, opowieści fantastyczne czy mangę.

– Pokażę panu pański pokój! – oznajmił, wskazując na drewniane schody w głębi.

Na pierwszym piętrze minęliśmy jego mieszkanie, na drugim był pokój ciągnący się przez całe poddasze, gdzie miałem zamieszkać ja. Gdy otworzyłem skrzypiące wielkie okna, odkryłem z zachwytem balkon, a właściwie taras, z którego był wspaniały widok na plac i morze. To poprawiło mi humor. Stare uliczki wiły się ku wybrzeżu między domami z wiekowego kamienia koloru ochry.

Ułożyłem swoje rzeczy i zszedłem do sklepu. Chciałem pogadać z Audibertem, dowiedzieć się, czego konkretnie ode mnie oczekuje.

– Wi-fi nie działa tu zbyt dobrze – uprzedził, włączając

zabytkowy komputer. – Dość często trzeba restartować router, zainstalowany jest na piętrze.

Zanim komputer zaczął działać, Audibert włączył małą płytę kuchenną i napełnił maszynkę do kawy.

– Napije się pan? – spytał.

– Z przyjemnością – odrzekłem.

Wyjął filizanki, a ja tymczasem spacerowałem po księgarni. Nad biurkiem wisiała korkowa płyta, do której przypięte były pierwsze strony starych wydań pisma „Livres Hebdo” z czasów, kiedy jeszcze żył i publikował w nim Romain Gary (naprawdę nie przesadzam). Miałem ochotę odsłonić okna, pościagać z podłogi bladoliliowe poprzecierane dywany, pozmieniac rozmieszczenie półek z książkami i stołów do prezentacji.

Audibert jakby czytał w moich myślach.

– Szkarłatna Róża istnieje od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku. Dziś nie robi specjalnego wrażenia, ale kiedyś była to prawdziwa instytucja. Organizowaliśmy międzynarodowe spotkania autorskie, przyjeżdżały do nas sławy...

Wyjął z szuflady pamiątkową księgę oprawną w skórę i wręczył mi ją z zachęcającym uśmiechem. Przewracając strony, rozpoznawałem nazwiska słynnych postaci. Michel Tournier, Jean-Marie Gustave Le Clézio, Françoise Sagan, Jean d’Ormesson, John Irving, John Le Carré i... Nathan Fawles.

– Naprawdę chce pan zwinąć interes?

- Tak, bez żalu. Ludzie po prostu przestali czytać.
- Może nie przestali, tylko czytają inaczej... – zasugerowałem.

Audibert wyłączył gaz pod gwizdzącą kafetierą.

- No, wie pan, co mam na myśli – powiedział. – Nie mówię o zabawie w czytanie, mówię o prawdziwej literaturze.

No tak, prawdziwa literatura... W rozmowie z ludźmi pokroju Audiberta zawsze przychodzi moment, w którym pada to określenie. Prawdziwa literatura... Prawdziwy pisarz... Osobiście nigdy nie pozwalałem, żeby ktoś mi mówił, co mam przeczytać, a czego nie. Tego typu wymądrzanie się wydawało mi się bezgranicznym zarozumiałstwem.

- No, niech mi pan powie, zna pan dużo prawdziwych czytelników? – ożywił się Audibert. – Mówię o tych inteligentnych, którzy poświęcają czas, żeby naprawdę przeczytać wartościową książkę.

Nie czekając na moją odpowiedź, ciągnął podeksytowany:

- Ilu według pana jest takich we Francji? Dziesięć tysięcy? Pięć? Może mniej.

– Pesymista z pana!

- Nie, nie! Trzeba się pogodzić z faktem, że przed nami rozpościera się literacka pustynia. Dziś każdy chce być pisarzem, nikt nie chce czytać.

Żeby przerwać tę bezsensowną rozmowę, pokazałem mu palcem zdjęcie Fawlesa wklejone do albumu pamiątkowego.

– Nathan Fawles... Zna go pan?

Audibert nieufnie ściągnął brwi.

– Trochę... O ile można znać Nathana Fawlesa.

Podał mi filizankę z kawą. Płyn był koloru i konsystencji atramentu.

– Kiedy Fawles pojawił się u nas na spotkaniu autor-skim ze swoją nową powieścią, w dziewięćdziesiątym piątym czy szóstym roku, był wtedy na wyspie pierwszy raz. Natychmiast się w niej zakochał. Pomogłem mu nawet w kupnie tej willi, która nazywa się Krzyż Południa. Ale później nasze stosunki się rozluźniły... właściwie zupełnie się urwały.

– Wpada tu od czasu do czasu?

– Nie zdarzyło mu się.

– Jeśli spróbuję go odwiedzić, myśli pan, że podpisze mi książkę?

– Radzę panu o tym zapomnieć. – Audibert westchnął, kręcąc głową. – Najwyżej zarobi pan śrutem.

Wywiad z Nathanem Fawlesem w AFP
AFP – 12 czerwca 1999 (fragment)

Jest pan pewien tej decyzji? Chce pan zakończyć karierę? U szczytu sławy? Przecież ma pan dopiero trzydzieści pięć lat!

Tak, mam już dość. Piszę bez przerwy od dziesięciu lat. Przez dziesięć ostatnich lat co rano siadałem na krześle i wpatrywałem się w ekran komputera. Chcę z tym skończyć.

Czy to nieodwołalna decyzja?

Nieodwołalna. Sztuka trwa, życie jest krótkie.

Ale w zeszłym roku oznajmił pan, że pracuje nad nową powieścią, podał pan nawet roboczy tytuł: *Niepokonane lato...*

Tak, miałem taki projekt, ale zarzuciłem go.

Co chciałby pan powiedzieć rzeszy czytelników, która czeka na pańską następną książkę?

Niech nie czekają, nie zamierzam już pisać. Ludzie muszą znaleźć sobie innych autorów. Pisarzy nie brakuje.

Czy trudno jest pisać powieści?

Tak, ale z pewnością jest dużo trudniejszych zajęć. Źródłem stresu przy pisaniu jest irracjonalna strona tego zajęcia: to, że napisał pan trzy powieści, nie oznacza, że uda się panu czwarta. Nie ma metody, nie ma reguł, nie ma wskazówek. Każda następna powieść to skok w nieznanie.

No właśnie, a co pan umie robić innego, poza pisaniem?

Podobno robię świetną potrawkę cielęcą w śmietanie.

Czy sądzi pan, że pańskie książki przejdą do historii?

Mam nadzieję, że nie.

Jak widzi pan rolę literatury we współczesnym świecie?

Nigdy się nad tym nie zastanawiałem i nie zamierzam tego robić.

Czy pańska decyzja dotyczy również udzielania wywiadów?

Tak, bo dałem ich o wiele za dużo. Odpowiadanie na pytania dziennikarzy to zajęcie, którego jedynym celem jest promocja książki. Przeważnie, a właściwie

prawie zawsze, moje słowa są publikowane niedokładnie, zmienia się ich sens, wyjmuje z kontekstu. Mimo że jestem pełen dobrej woli, „wyjaśnianie” moich książek nie daje mi żadnej satysfakcji, a już w ogóle nie lubię pytań o moje poglądy polityczne czy życie prywatne.

Dokładna znajomość życia pisarza, którego się podziwia, pozwala lepiej zrozumieć treści, które przekazuje...

Odpowiem tu słowami Margaret Atwood, że chęć spotkania z pisarzem dlatego, że podobała nam się jego książka, jest jak szukanie osobistego kontaktu z gęsią, ponieważ lubi się pasztet z gęsich wątróbek.

Uważa pan, że czytelnik nie ma prawa porozmawiać z pisarzem na temat sensu jego pracy?

Nie, nie ma. Jedyne sensowny kontakt z pisarzem to przeczytanie tego, co napisał.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).